STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA I ADMINISTRACYA
ulica Zielona Nr. 46.
EKSPEDYCYA
w Trafice (Hotel Żorża), róg Placu Maryackiego ul. Krętej.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA
w miejscu kwartalnie . . . . . 75 ct.
„ z przesyłką do domu 85. „
na prowincyi kwartalnie . . . 90. „
za granicą „ 1 złr. — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5. ct.

Nr. 8. Lwów, 17. Lipca 1880. Rocznik 2.

Odzywamy się do poczucia obywatelskiego Szanownych Prenumeratorów prosząc o wyrównanie zaległości, jako też rychłej spłaty za nowy kwartał, gdyż w takich warunkach jak dotąd, nie moglibyśmy zadaniu naszemu odpowiedzieć.

Prenumerata we Lwowie wynosi na „Strażnicę polską“ i „Sztandar polski“ kwartalnie **1** złr. **50** ct — na prowincyi **1** złr. **75** ct. — za granicą **2** złr. a. w. — Rocznie we Lwowie **6** złr. — na prowincyi **7** złr. — za granicą **8** złr. — Oprócz Redakcyi przyjmuje przedpłatę w miejscu Ekspedycya w Trafice (Hotel Zorza) róg placu Maryackiego i ulicy Krętej.

Redakcya.

Z Izby sejmowej.

Wprawdzie po lekcyi, jaką c. k. Prokuratorya dała w zeszłym tygodniu Redakcyi „Sztandaru polskiego“, nie bardzo jest bezpiecznie i zdrowo pisać Redakcyi „Strażnicy polskiej“ o sprawach Sejmu krajowego, redakcya nasza nie może jednak w żaden sposób pojąć, aby według praw konstytucyjnych nie wolno było obywatelowi mówić o tem, co robią i jak radzą jego mandataryusze czyli reprezentanci, których on wybierał na Sejm. Pojmujemy taką gorliwość c. k. Prokuratoryi, jeżeli omówienia w pismach publicznych nosiłyby cechę nieprzyzwoitości lub wygłoszonemi były przy pomocy wyrazów, których bez ubliżenia nie można używać w życiu społecznem — gdy jednak redakcya „Sztandaru polskiego“ ani bezpośrednio ani pośrednio nie wyszła z granic parlamentarnych, a pomimo tego numer 8 czyli ostatni jej pisma został skonfiskowany, mężowie i doktorowie, biegli w prawie, w żaden sposób nię mogą pojąć, co c. k Prokuratoryę spowodowało do skonfiskowania pisma. Czy i świetny Trybunał c. k. Sądu tak samo się będzie zapatrywał i potwierdzi konfiskatę, w tym względzie jest ciekawość naprężona.

Pomimo tego nie wolno nam zrzec się głosu i nie donieść chociażby o niektórych sprawach i faktach dokonanych. Do obowiązku tego tem więcej się poczuwamy, gdy nasze nadpełtwiańskie Timesy donoszą bardzo mało lub zupełnie bałamutnie o sprawach sejmowych, które aczkolwiek odbywają się publicznie, mają być tajemnicą dla kraju. Jakkolwiek gremium sejmowe podzielone jest na liczne stronnictwa, to jednak stronnictwom tym bynajmniej nie przeszkadzało i nie przeszkadza, aby bez różowych okularów przypatrywać się gospodarce krajowej. To też przy bliższem rozpatrzeniu się, mianowicie na sprawy, które pozostają pod kierownictwem Wys. Wydziału krajowego, zaczęły się odzywać głosy, które protestowały i wyrażały głośno zdanie o tej gospodarce. Ciekawość poselska zaczęła się budzić coraz więcej, która się aż tak daleko posuwała, że niejeden z pp. posłów zjawiał się jak „deus ex machina“ w biurach Wydziału i nie obwijając w bawełnę żądał aktów, dokumentów, zaglądał w księgi rachunkowe, wyjeżdżał nawet do Kulparkowa a tam dopuszczał się takich niedyskrecyj, które już grubo w oczach Wydziału krajowego mogły zakrawać na niegrzeczność. I słusznie, bo czy pp. posłowie powinni się aż do tego stopnia poniżać, aby liczyć piece w Zakładzie kulpark. i z prostej pomyłki, że gdy w księgach zapisano, iż opala się 41 pieców, które konsumują tyle a tyle drzewa, a w rzeczywistości, gdy pp. posłowie wzięli takowe „ad oculos“, znaleźli tylko 28; — jak można z tak błahego powodu podejrzywać zaraz urzędników Wydziału kraj., którym nawet „Dziennik polski“ daje patenta na „gorliwość“? Czy można się gorszyć, że opał domu administracyjnego kosztuje 2000 złr. rocznie, a Zakład obłąkanych 14000 złr.?

Nie dosyć na tem, gdyż pp. posłowie bez najmniejszego względu „na koleżeństwo“ zapominając o solidarności, jaką się winni kierować wobec Wydziału krajowego, zaczęli szukać, macać i coraz głośniej objawiać swe nieukontentowanie. Pozycya Wydziału kraj. stawała się coraz nieprzyjemniejszą, a mogła rzeczywiście stać się przykrą, gdyby ciekawości poselskiej nie położyło się tamy.

Cóżby to np. za plotka urosła, gdyby przyszło jednemu z posłów na myśl zajrzeć do ksiąg rachunkowych w oddziale propinacyjnym i tam wyczytać, że gdy Wys. Wydział kraj. potrzebował pieniędzy na budowę gmachu sejmowego, a nie miał takowych w gotówce, lecz tylko w listach zastawnych i hipotecz. takowe przez pomyłkę nie zostały po prostu zastawione, lecz sprzedane z prawem wykupu, a ztąd wynikła potrzeba wyrównania dyferencyi kursu 14%, do czego

LWOWSKA WYSTAWA SZTUK PIEKNYCH w auli Politechniki.

II.

Sidorowicz Zygmunt nadesłał na wystawę dwa krajobrazy i jeden obrazek rodzajowy p. t. „W pracowni“ — w mniejszym z krajobrazów aczkolwiek bardzo sympatycznym jak szystkie utwory tego artysty, przebija się jednak jeszcze dawniejsza stereotypowa maniera, która znawców nie może zupełnie zadowolić.

Za to drugi krajobraz większego cokolwiek rozmiaru malowany jest w taki sposób, że zapowiada zwrot pęzla na korzyść sztuki. Jest to widok leśny w porze gorącego lata, w pełnem świetle i cieple, z prawdą trzymany w kolorycie. Na pierwszym planie jest woda po nad którą jako stafaż obrazu dwie dziewczyny przygotowują się do kąpieli. Jakkolwiek zdania znawców są różne, to my jednak od przekonania naszego nie odstępujemy i szczerze winszujemy artyście tak sumiennego zbliżenia się do natury.

Natomiast obrazek rodzajowy (przedstawiający kobietę w pracowni artysty) jest dosyć mierny, nic nie mówiący, bo ani przyciąga ani odpycha od siebie.

Spuścizna po śp. Gryglewskim Aleksandrze przedstawiająca kościół P. Maryi w Krakowie z częścią rynku i dawnych Sukiennic, jest to w swoim rodzaju perła nietylko na wystawie lwowskiej, ale nią być może na każdej wystawie, chociażby światowej, i mimowoli żal serce ściska, żeśmy tak rychło utracili tak znakomitą siłę dla sztuki polskiej. Cena obrazu naznaczoną jest na 600 marek, a więc 300 guldenów. Dziwić się należy, że dotąd nie znalazł się nikt, aby to dzieło sztuki zakupić po tak znakomitym artyście, który już nie żyje, a więc nic więcej nie stworzy.

Na tej samej ścianie zawieszony jest obraz rodzajowy przedstawiający zimę na Podolu, a wpatrzywszy się weń przychodzi z trudnością orzec, czy się zachwycać prawdą krajobrazu, czy też stafażem, którym ożywiona jest droga zimowa we wsi i sąsiedztwo karczmy.

Z krajobrazu okrytego śniegiem czuć rzeczywiście mróz, co to szczypie i nakazuje się owijać w kożuch — koloryt atmosfery zimowo-ołowianej wybornie jest odczuty i zrozumiany. Szlachcic jakiś jadący sankami, konie i różne postacie wiejskie narysowane są poprawnie i pełne życia. Panu Brochockiemu jeżeli z taką sumiennością dalej pracować będzie, można rokować piękną przyszłość artystyczną.

Pruszkowski Witold na którego „Madeja“ oczekiwaliśmy z niecierpliwością, wcale nas niezadowalnia, gdyż charakteryzuje obraz jego znaczny odskok od portretu kobiety, którym się publiczność zwiedzająca w zeszłym

dodawszy $5\frac{1}{2}\%$ od pożyczki, czyni razem $19\frac{1}{2}\%$ *). Gwałtu co się dzieje!? — zawołałby hr. Krukowiecki, a to przecież nie ma w tem żadnej słuszności jeżeli się zważy, że wiele ten czyni, który musi. Zresztą nie jeden p. poseł opłaca zapewne większe procenta i tak samo operuje finansami, a przecież się tem nikt nie gorszy i nie traci do niego zaufania.

Cóby to był za gwar, gdyby znowu ktoś zajrzał do rachunków budowy dróg i tam widział cyfry, że wypalenie 1000 cegieł na miejscu w bezpośredniej bliskości z budową drogi, gdzie drzewo opałowe i glina tuż, koszta wynoszą 16 złr. a w stołecznem mieście Lwowie, gdzie opał kosztuje co najmniej podwójną cenę, robotnik znacznie droższy i inne wydatki o wiele są wyższe, pp. właściciele ciegielni sprzedają cegłę także po 16 zł; przecież o różnicę taką w cenach produkcyi nie można i nie wolno czynić wyrzutów Wydziałowi kraj., bo to są sprawy, na których się nie każdy śmiertelnik rozumie. Jak z tych dwóch przykładów widzimy, któreśmy wyciągnęli na chybił-trafił z puszki Pandory Wydziału kra., mogły zajść nader przykre chociaż nie mające podstawy, nieporozumienia. A że ciekawość, jak przysłowie niesie, jest pierwszym stopniem do piekła, Wys. Wydział kraj., nie chcąc narazić dusz poselskich na potępienie, postanowił stanowczo złemu zaradzić a czas był ku temu największy, gdy nawet na oko tak skromny w mowie poseł Raciborski, ośmielił się zabrać głos i w sposób bardzo wyraźny objawić pewien brak zaufania do Wydziału krajowego.

Po skupieniu myśli reprezentacya Wydziału krajow. uważała za najstosowniejsze, użyć silnego lekarstwa na zbyteczną ciekawość i nielojalne poglądy, które tchnęły wonią niekoleżeństwa i brakiem solidarności z Wydziałem kraj. W obec takiego położenia i ze względu gorączki atmosferycznej, nie można się było wahać, lecz zarządzić skuteczną dezinfekcyę, którąby nie dozwoliła się gromadzić miazmom do wybuchu śmiertelnej epidemii.

J. Eks. p. Marszałek naznaczył w czwartek wieczorne posiedzenie, a gdy się Izba sejmowa zapełniła posłami, oddając laskę marszałkowską wicemarszałkowi, ks. biskupowi Stupnickiemu, hr. Ludwik Wodzicki zajął miejsce na ławie poselskiej, a gdy w Izbie zapanowała niezwykła cisza, zabrał głos i w mowie trwającej przeszło trzy kwadranse, słuchanej również z niezwykłem skupieniem uwagi posłów, wypowiedział niezwykłe położenie, w jakiem się Wydział kr. w obec Izby sejmowej znajduje. Dał uczuć jak przykrą mu jest podejrzliwość i widome oznaki braku zaufania, jak się przedstawia solidarność w postępowaniu oraz „koleżeństwo" pp. posłów do Wydziału kr., co wszystko razem zebrawszy, nie dozwala Wydziałowi przyjmować nadal w milczeniu czynionych zarzutów, lecz wyświecić i postawić stosunek jasno, w jakim się znajduje do Izby sejmowej.

P. Marszałek stawia więc kategoryczny warunek, aby Izba sejmowa dała wyraz zaufania Wydziałowi kraj., w przeciwnym razie p. Marszałek wraz z Wydziałem postąpią wedle przekonania swego, czyli mówiąc wyraźniej, złożą swe mandaty „bez narażenia Izby na trudności, gdyż postanowienie wykonane zostanie w takim czasie, aby Izba nie pozostała w kłopocie, mogła zaradzić wcześnie co potrzeba i administracya kraju nie była narażoną na żadne prowizorya."

P. Marszałek zakończył swą mowę wśród sensacyjnej ciszy tak samo jak ją rozpoczął, żadne wrażenie nie wyłoniło się na zewnątrz, nie przerwało milczenia, któreby mogło dodać mowcy otuchy lub stwierdzić, jaki skutek osiągnęła mowa.

Dopiero później powstał w Izbie niezwykły hałas a jak się „Dziennikowi pols." podobało nazwać, „niepokój" po mowie marszałka. Poseł Baum zabierając jako sprawozdawca głos z trybuny tłumaczy, że się nie zgadza na zapatrywanie marszałka, bo z pojedynczych głosów poselskich nie można wnosić o nieufności do Wydziału, a dopóki Izba obraduje nad budżetem, Wydział posiada jej zaufanie.

Hr. Krukowiecki pomija zupełnie mowę marszałka a wracając wprost do rubryki budżetowej wnosi obcięcie kwoty na dyety poselskie „z 36.000 na 28 tysięcy". W Izbie widoczne zaniepokojenie, wniosek ten upada. Hr. Krukowiecki żąda dalej wykreślenia kwoty na honorarja zastępców, bo jak np. p. Smołka, który poszedł do Rady państwa, winien był poprzednio złożyć godność członka Wydziału kraj. Departament jego czyli gminny, znajduje się w największym nieporządku.

P. Grocholski żąda, aby przedewszystkiem załatwić sprawę, którą marszałek poruszył a gdy chodzi o wotum zaufania, to najlepiej będzie uchwalić płace dla członków Wydziału kraj. Książe Jerzy Czartoryski nie zgadza się z tem, co mówił poseł Grocholski, gdyż uchwały budżetu nie mógłby uważać za wyraz zaufania dla Wydziału. Wystąpienie i żądania p. marszałka „wydają mu się za przedwczesne".

Poseł Zyblikiewicz wyraża, że ze sprawy budżetu nie można robić sprawy zaufania do marszałka na bezwarunkowe zaufanie i tak samo do członków Wydziału kraj. wyjąwszy do jednego, który jeżeliby wystąpił, fundusz krajowy zyska sto do 200 tysięcy zł. Marszałek oświadcza po raz wtóry i stanowczo, że musi się domagać uchwały jasnej, czy Izba podziela zarzuty posła Raciborskiego i innych.

Poseł Spławiński stawia wniosek: „Sejm wyraża zaufanie Wydziałowi kraj. i uchwala sumę dla niego 37 000 zł."

Następują różnorodne propozycye, wygłaszane wśród wielkiego hałasu i niepokoju, wskutek czego na wniosek p. Męcińskiego zamknięto posiedzenie o godz. 9. wieczorem, poczem zebrało się Koło sejmowe na poufną naradę.

Wieść ta pomimo spóźnionej pory rozeszła się bezzwłocznie po całem mieście, wywołując różnorodne wrażenia, dyskusje i myśli. W pierwszej chwili demonstrowało wielu pp posłów szczególniej t. z. postępowych w taki sposób, iż można było wierzyć, że dnia następnego wotum zaufania pozostanie w mniejszości. Słyszeliśmy nawet głośne zaklęcia się na stałość zdań, ale było to w nocy przed udaniem się na spoczynek po trudach dziennych. Już się północ zbliżała a szybkonośne pegazy dorożek woziły posłów od jednej kwatery do drugiej i tak samo wczesnym rankiem, aby zażegnać burzę. Obawy te jednak były płonne, gdyż Wydz. kraj. zna bardzo dobrze usposobienia i poglądy Izby poselskiej, aby się mógł chociaż na chwilkę zaniepokoić i wywnioskować dla siebie jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

W Izbie sejmowej mamy tyle stronnictw i klubów, które wszystkie z wiedzą lub bezwiednie poruszane są jednym sznurkiem i jakkolwiek zdają się stać na pozycyach z bronią do ataku, to jednak nikt nikomu krzywdy nie uczyni. Klub postępowy, który większość społeczną kraju najwięcej zapewne obchodzi, jest to ciałko za zbyt grzeczne i za zbyt dobrze wychowane, aby go ktośkolwiek śmiał brać na serjo i posądzać o stanowczą odwagę cywilną. Jest to głośną tajemnicą tak w Izbie sejmowej jak i we Lwowie, że klub postępowy nie zdobędzie się na odwagę, aby zdjąć pokrowiec ze sztandaru pod jakim stoi.

Jak długo poseł postępowy nie zdoła rozłączyć się z kulą, która przytwierdzona do niego łańcuchem, krępuje mu ruch swobodny, jak długo kokarda postępowa nie przestanie być straszakiem w obec stronnictw przeciwnych a rzeczywiście w sprawach dla osiągnięcia celów osobistych, jak długo nie ustąpi pokątne kokietowanie i gdy niby nikt nie widzi nadskakiwania, jak długo na koniku postępowym będzie usiłował poseł wspinać się na wyżyny blichtru, tak długo pozosta-

*) Ktoby nie wierzył, niech zajrzy do rachunków sekcyi propinacyjnej w Wydziale kraj.

---

roku wystawę, tak zachwycała. Podania nasze ludowe otwierają artyście szerokie i wdzięczne pole do tworzenia, a znając usposobienie tegoż, mogliśmy się spodziewać więcej odpowiedniego wykonania. Obraz zalicza się do większych rozmiarów a przedstawia las liściasty i tak pełen światła, iż nie można wątpić, że to upał i południe;—cała grupa leśna nie ma ani jednej partyi cienia; na pierwszym planie widzimy nagą postać Madeja, która jakby była pół ciałem a pół ziemią, przybiera w obec kapłana spowiednika realne ludzkie kształty wiekowego starca.

Madej klęczy jakby zrosły z swoją pałką, którą kiedyś zabijał ludzi, a obecnie pałka ta wyrosła na bujną jabłoń okrytą owocem. Tuż obok siedzi kapłan staruszek, ten sam, który za młodu przechodząc jako kleryk przez te knieje, spotkawszy rozbójnika wysłuchał go spowiedzi i zadał pokutę. Dziś po wielu dziesiątkach lat wola boża znowu go na to miejsce sprowadziła, aby udzielić grzesznikowi rozgrzeszenia, czego widocznie już dokonał.

W górze pomiędzy drzewami ulatują jakby z eteru stworzone białe gołębice, które przedstawiać mają dusze czyste, unoszące się w niebiosa. Zgodzilibyśmy się na takie pojęcie Madeja, gdyby nie sprzeczność spokoju atmosfery słonecznej z wichrowatością brody i włosów pokutnika, któremi zdaje się miotać z gwałtownością burza. Dalej ksiądz staruszek jest tak nic nie mówiący, jakby spowiedź odbywała się w warunkach zwykłych i prawidłowych. Rozkład światła jest tego rodzaju, że postaci wypada dopiero szukać pomiędzy liściami drzew. W obec dramatycznej grozy nadprzyrodzonego zjawiska ksiądz ma taką minę, jakby siedział w codziennym konfesjonale parafialnego kościółka. Perspektywy w obrazie nie ma prawie żadnej, aczkolwiek wykonanie samo traktowane jest z fotograficzną ścisłością. W traktowaniu pęzla znać że p. Pruszkowski posiada nie mały zasób techniki, ale za to w kompozycyi całości obrazu wpadł w chaos, z którego wybrnąć było mu niepodobieństwem.

Tuż obok mamy przed sobą Jaroszyńskiego „Wesele Hucułów" obraz rokujący wielką przyszłość artyście, jeżeliby tenże znalazł sposobność i uzupełnił wykształcenie swe na pierwszorzędnych mistrzach sztuki. Krajobraz przedstawia górską okolicę pod „Czarną górą" na ostatnim planie piętrzą się w szmaragdowym kolorycie tak zwane „gorgany"; bliżej widać cerkiewkę, a na pierwszym planie na górce czupurzy się huculska chata, pod którą ciągnie się drożyna w ciasnym wąwozie, której jeden bok sparty o strome wzgórze a drugi o przepaścisty strumień. Droga przedstawia załam, po którym powraca weselna gromada hucułów konno i pieszo w hulaszczem usposobieniu tak ważnej uroczystości. Krajobraz i scenerya weselna oparte są na odczuciu prawdy, gromada huculska pełna swobody i werwy, konie jednak, jakkolwiek nie można im zaprzeczyć rasy huculskiej, zostały tak dziwnie pojęte w rysunku, że nogi pozostają w niezwykłym stosunku krótkości do kadłubów, co czyni wrażenie, jakoby te stworzenia należały do jakiej apokaliptycznej

nie on potulną, nieszkodliwą owieczką, która z ręki będzie jeść cukierki.

Takie rozbicie na atomy nie stropi dobrego i wytrawnego gracza, gdyż z łatwością powtórzy się przysłowie: że „złapał kozak Tatarzyna a Tatarzyn za łeb trzyma".

Nie wolno nam zaprzeczyć, iż w Kole postępowem była szczera inklinacya, aby wotum zaufania nie zostało uchwalone, ale jakież ztąd następstwa? Oto w skutek rozbicia i braku solidarności u nominalnych postępowców, wybór nowych członków Wydziału krajowego gdyby dotychczasowi wystąpili, stałby się nader problematyczny. Prawdopodobnie przyszłoby do tego, że cały postęp wschodniej Galicyi poszedłby w lennictwo krakowskiego stańczykowstwa, którego chęci do panowania we Lwowie są bardzo widoczne. Gdy więc dnia następnego t. j. w piątek zagajoną została sesja przez ks. biskupa Stupnickiego a w nieobecności hr. marszałka i członków Wydziału kraj. na wniosek posła Grocholskiego uchwaliła Izba dla Wydz. krajowego wotum zaufania z wyjątkiem przeciw-głosującej partyi ruskiej i hr. Krukowieckiego.

P. Zyblikiewicz, jak to przedtem oświadczył, wyszedł z sali i nie głosował. kilku innych posłów, uważając lawirowanie jako najbezpieczniejszy środek ochrony osobistej, zjawili się w sali już po głosowaniu. Pomiędzy tymi spostrzegliśmy posła Tadeusza Romanowicza. Tak się zakończyła groźna burza, która czarnemi chmurami zawisła nad głowami reprezentantów kraju, a że i bez epilogu obyć się nie może, to gdy wotum zaufania zostało uchwalone, wszedł do sali sejmowej p. marszałek i członkowie Wydziału kraj. zajmując swe miejsca.

Nie można ani na chwilę wątpić, że po tej moralnej nauczce ciekawość została skutecznie poskromioną. Pp. posłowie odżegnywać się będą od aktów i ksiąg rachunkowych Wydziału kraj., wycieczek wszelkich zaniechają; tak jak grzeczność wymaga zachowają się do końca, rozjadą do domów.

Ponieważ sesja sejmowa ma się stanowczo zakończyć dopiero 24. t. m to poprosimy redakcyi „Sztandaru polskiego" aby nie tylko w imieniu swojem, ale i naszem pomówiła jeszcze w przyszłym tygodniu o sejmie krajowym.

Święto wolności.

Kiedy całą Europę przebiegają jakby dreszcze, ważny jakiś wypadek poprzedzające; kiedy Wschód zwłaszcza zakrwawia się nakształt łuny pożarnej; kiedy jedno państwo, które kilkaset lat pomiędzy pierwszemi przewodziło światu, rychło już może zupełnie ze sceny jego zejdzie — na Zachodzie. skąd od wieków szły promienie ducha, jak ze wschodu światło dnia idzie, obchodzono pamięć chwili. która była początkiem, rzec można, wolności całej Europy.

Dnia 14. t. m. obchodziła Francya pamiętne zburzenie Bastylli podczas wybuchu wielkiej rewolucyi. Pamięć dnia tego obchodzić kiedyś będą wszystkie narody: gdy wreszcie każdy lud nauczy się kiedyś cenić najwyżej to, co dlań rzeczywiście najwyższą ma wartość, t. j. w o l n o ś ć.

Ażeby tem godniej uczcić ten dzień, nie powierzchownie fajerwerkowemi frazesami ale z całej narodu duszy, z całego serca jego, wszystkim bez wyjątku politycznym przestępcom zupełną dano amnestyę, wyjmując tych tylko niewielu, którzy za pospolite zbrodnie dawno prawa obywatelskie postradali.

I amnestya ta ogólna nie pociągnęła za sobą żadnych złych dla Francyi następstw. Wielkie wolności święto jak najspokojniej przeszło wśród uniesienia całego narodu, wszystkich warstw społeczeństwa francuzkiego. Rzeczpospolita we Francyi po dziesięcioletniem swem istnieniu odniosła w tym dniu tak wielkie zwycięztwo, tak wielki obchodziła tryumf, że przezeń naród francuski na nowo postawiony jest na ten piedestał, z którego do niedawna widny był całemu światu jako wódz w pochodzie jego w przyszłość. A już wątpić zaczęto, ażeby Francya podniosła się kiedyś napowrót tam, skąd ją jednym zamachem strącił upadek Napoleonidów. Tymczasem ta cisza, ta na pozór obojętność, w jaką pogrążyła się po klęsce, to zaskorupienie się w samej sobie było tylko koniecznym spokojem dla nabrania nowych i może nawet większych sił, niż te, jakie kiedykolwiek miała.

Idea republikańska, zdaje się, przeniknęła wszystkie narodu warstwy, a z pewnością te przynajmiej, które zawsze i wszędzie w ucywilizowanem państwie przewodzą i przewodzić powinny — nigdzie żaden nie odezwał się rozdźwięk, któreby ogólną zamącił harmonię... Władza i rządzeni, armia i lud w jednym stanęły obok siebie szeregu, a to wypadek, o który w czasach militaryzmu nie łatwo, to wypadek, który nie wszędzie w Europie jest możliwy, choćby wśród nie wiedzieć jak wyjątkowych okoliczności.

Nawet nieprzyjaźna Francyi prasa chyli czoło przed tem wielkiem zdarzeniem, a Niemcy i jako państwo zdają się wreszcie do przekonania przychodzić, że wśród tych trofeów, jakie przed dziesięciu niemal laty z Francyi wynieśli, nie było berła, którem przewodziła światu, nie było owej obywatelskiej korony, którą pierwsza wśród nowożytnych ludów swe skronie przyozdobiła... Bo oto stoi ona znowuż i z temże samem berłem i w tejże samej koronie, a chociaż miecz jej nie cięży na szali wypadków, nie gruchoce despotycznych tronów, zarówno potężnie oddziaływa ona na rozwój duchowy ludów, jak wówczas, gdy szła z orężem naprzód.

Idzie ta stara ludów przodownica właśnie w tym przed niemi kierunku, w jakim ją duch myślicieli nowożytnych popycha. Kiedy przed stu laty stanawszy na czele narodów walczyła o wolność, dziś, gdy się potężne odzywają głosy, że sama przecież wolność polityczna do życia człowiekowi nie wystarcza, Francya przez rząd swój, jaki sama sobie dała, przyrzeka zadość uczynić i tym wymaganiom, przyrzeka w opiekę wziąć tę wielką masę nic nieposiadających prócz zdolności do pracy i zająć się nimi w ten sposób, jak sami żądają.

W dzień bowiem wielkiego święta narodowego postawili robotnicy francuzcy następujące żądania. Po pierwsze, ażeby liczba godzin pracy dziennej zmniejszona została; po wtóre, ażeby wszelkie roboty państwowe oddawane były stowarzyszeniu robotników; po trzecie, ażeby założona została kasa emerytalna dla niezdolnych wreszcie do pracy robotników.

---

rasy. W rzeczywistości konie huculskie nie grzeszą długością nóg, ale na obrazie zanadto im poskąpił artysta miary, na czem wiele obraz traci.

Scenerya weselna, jakkolwiek jest sumiennie studjowaną grzeszy brakiem perspektywy światła. Pomimo tych wad byłoby do życzenia, aby obraz znalazł nabywcę, gdyż cena 450 zł. jest prawie więcej jak skromną.

Witkiewicz Stanisław przysłał „Targ na konie". — Targ ten odbywa się w porze zimowej widocznie w ukraińskiej mieścinie. Artysta, któregośmy dotąd nieznali, przedstawia się jako niepośledni koniarz w przyszłości, z którym niejeden malarz pracujący w tym kierunku liczyć się będzie musiał.

Pan Witkiewicz zdradza wiele wrodzonego talentu i werwy. Do koni wykonał pewnie wiele studyów, nie umie się jednak jeszcze obchodzić z płaszczyznami krajobrazów. Na obrazie, o którym mówimy, pomimo usterek rysunkowych, dobrze się przedstawia „Rysak siwy" zaprzężony w hołoblą do sanek, na których siedzi kilku żydów handlarzy koni. Rysak gracko się posuwa i na pewnych nogach, nie brakuje mu ognia rasowego; dalsze sceny jarmarczne wybornie są pojęte i studyowane, ale zato płaszczyzna po prawej stronie mająca wyobrażać łatę brudnego jarmarcznego śniegu, jest tak jakoś symetrycznie traktowaną, że oddziaływa bardzo niekorzystnie na całość obrazu.

Wojciech Gerson przysłał wielkiego rozmiaru obraz dziejowy: „królowę Jadwigę" usiłującą opuścić zamek krakowski, obraz ten jest dla nas również miłą niespodzianką albowiem zwątpiliśmy już, aby p. Gerson mógł jeszcze do takiej siły kolorytu jak obecnie doprowadzić swe dzieła sztuki. Dziewica Jadwiga, która odczuła miłość do Wilhelma porwana namiętnością i przeszkodami usiłuje na zamku krakowskim toporem wyrąbać drzwi, aby tak zdobyć wolność i połączyć się z ideałem serca. Czujna jednak straż dworzan a szczególniej Gerdwoja, odkrywa zamiar i uniemożebnia takową perswazyą. Obok Jadwigi widzimy skuloną na kolanach i zrozpaczoną towarzyszkę młodej królowej, jakkolwiek w obrazie kilka figur, obraz jest pełen ekspresyi.

Nie zgadzamy się tylko z artystą, że uważał za konieczne, aby nawet w takiej chwili królowej Jadwidze nie brakowało na koronie i szkarłatnym płaszczu koronacyjnym.

Takiemu artyście, jak p. Gerson nie wolno było takiego błędu popełnić. Wybornie jest oświeconą postać towarzyszki Jadwigi, że tak powiemy, po mistrzowsku. Jadwiga jest dobrze pojęta w chwili najwyższego rozdrażnienia umysłu, jakkolwiek gdy liczyła zaledwie wtenczas rok 16, w utworze obrazu jest znacznie starszą.

C. d. n.

Rząd francuzki przychylnie odpowiedział na te żądania i — dobrze uczynił. Jeżeli bowiem zasługuje na opiekę państwową urzędnik, żołnierz, jeżeli wymaga uprawy ziemia, która ma nam dać pokarm, to konieczna jest także opieka ogólna i nad tym czynnikiem, za pomocą którego naród wydobywa i przetwarza surowy produkt, to sprawiedliwą i nieodzowną jest opieka nad pracą, która równorzędną jest z twórczością przyrody.

Każdy zdrowo i jasno myślący przyzna, że równie dobroczynnym jest dla ogółu narodu robótnik prywatny, jak ów, którego w usługach państwa urzędnikiem nazywamy. Tak bez jednego, jak bez drugiego społeczeństwa istniećby nie mogły — słuszna więc rzecz, ażeby się nimi obydwoma zarówno zajmowały, a Francya, sądząc z kierunku obecnych dążności jej rządu, myśli właśnie zająć się w ten sposób sprawą pracy, sprawą opieki nad tymi, którzy rzec można jedynie od łaski i niełaski losu są zawiśli, od przypadku — przez całe swoje życie.

Godne to w dzień narodowej uroczystości tak wielkiego jak francuzki ludu i najzaszczytniejsze choćby dla najpotężniejszego rządu.

Gdy inne dzienniki zwracają uwagę swiata na obchód dnia 14. lipca we Francyi jedynie pod względem jego świetności, my o tym dniu wielkim pisząc, uważamy raczej za stosowne zwrócić uwagę na dodatne i praktyczne jego skutki.

Każde święto najlepiej się czci dodatnemi uczynkami, a więc i narodowe. Zdaje się, iż najstosowniej odezwiemy się do tyle razy zbratnionego nam narodu na polach bitew, gdy obecnie załemy mu życzenie — aby zamiar zamanifestowany przez odpowiedź rządu jego robotnikom szczęśliwie do skutku przyszedł.

Lubin Hasiewicz.

Wniosek
p. Emila Torosiewicza
i co o nim mówią telefony Lwowskie.

Było to jeszcze onego czasu gdy w skutek opozycyi zrodzonej w Delegacyi polskiej w Wiedniu, poseł na sejm krajowy p. Dawid Abrahamowicz ogłaszał drukiem swoją opozycyę przeciw mowie p. Ottona Hausnera a jeżeli nas pamięć nie zawodzi to i p. Emil Torosiewicz poseł na sejm krajowy tak samo usiłował zostać mężem stanu, a działo się to równocześnie, gdy jako przedsiębiorca robót kamieniarskich przy budowie gmachu sejmu krajowego, wszedł w niefortunną i niebardzo zaszczytną kolizyę z kamieniarzami krajowcami, o czem w swoim czasie pisaliśmy obszernie.

Wiadomo, że publicystyka oddziaływa często epidemicznie, a mianowicie jeżeli ktoś chociaż raz w życiu ogłosił swoje pomysły krajozbawcze drukiem, to nabywa takiej chętki do wydawnictw drukowanych, że go od nich żadna siła powstrzymać niemoże.

Otóż tak samo się stało z pp. Dawidem Abrahamowiczem i Emilem Torosiewiczem, jakkolwiek odrębne namiętności nimi owładnęły. Pan Dawid Abrahamowicz chciał koniecznie zostać mężem stanu, rozbić w puch opozycyę i zaznaczyć swe nazwisko ku wiecznej pamięci w dziejach krajowych; p Emil Torosiewicz który znowu poselstwo krajowe uważa jako „przewodnika" do przedsiębiorstw krajowych, pojmował to dobrze, że gdyby jeszcze miał do rozporządzenia jakikolwiek „dziennik" marzenia jego mogłyby się daleko prędzej zamienić w rzeczywistość.

Niedługo potem zaczęły telefony lwowskie donosić, że p. Dawid Abrahamowicz i p Emil Torosiewicz zamyślają założyć dziennik na własne ryzyko. Naród lwowski kiwał w tę i ową stronę głowami, wierzył i niewierzył w tę ofiarność. Sprawa ta ucichła, aż znowu przy końcu roku zeszłego zaczęły telefony głosić dobitniej, że p. D. A. i E. T. już niezawodnie od nowego roku uszczęśliwią Galicyę nowym dziennikiem, który na cześć „zasłużonego staruszka krakowskiego", miał w stolicy „warcholstwa" głosić słowo „Czasu". Niedosyć na tem, gdyż już każdy czytający o tem wiedział, że redaktorem głównym tegoż pisma, mianowany został p. Bernard Kalicki (obecnie nowo kreowany geniusz w Wydziale krajowym).

Pomimo wszelkich zapewnień zaświtał nowy rok a dziennik się nie pojawił. Telefony twierdziły, że znana oszczędność domniemanych panów wydawców, poradziła im niemarnowanie grosza na przedsiębiorstwo, które wprowadziwszy mianowicie na komorne do obcej drukarni, wieleby kosztowało, a odsetki od kapitału byłyby nader wątpliwych cyfer, tu więc zaniechali jenialnej myśli.

Co do znanej oszczędności telefony miały słuszność, ale co do zaniechania myśli skrewiły, albowiem obydwaj posłowie wpadli na pomysł praktyczniejszy i co więcej, zabezpieczający kieszeń od wypróżnienia. Krótko mówiąc, postanowili zużytkować swą powagę i wpływy poselskie, aby główne podwaliny do dziennika ich stronnictwa dał fundusz krajowy. A co się pomyślało, to przed kilku dniami weszło w życie: p. E. Torosiewiecz wniósł do laski marszałkowskiej następujący wniosek za którym się tak zręcznie uwinął, że uzyskał aż 56 podpisów w izbie sejmowej. Wniosek ten brzmi jak następuje:

„Zważywszy, że druki sejmowe, druki Wydziału krajowego i rozporządzeń krajowych kosztują rocznie przeszło dwadzieścia tysięcy złr.;

zważywszy, iż przez powierzenie tych wszystkich druków jednej drukarni dałaby się osiągnąć znaczna oszczędność, a to tem więcej, gdyby taka drukarnia była własnością fonduszu krajowego;

Wysoki Sejm raczy uchwalić:

„Na zakupno drukarni przeznacza się kwotę do 15.000 złr., która w dwóch rocznych ratach ma być wstawiona do budżetów najbliższych."

Wnioskodawca
Emil Torosiewicz.

Przyznać musimy, że p. E. T. spisał się „fajno" i sprytnie, ale czy w rzeczy samej wywrze wpływ na Izbę sejmową, to dopiero czas pokaże. Wielce szanowny reprezentant kraju wsiadłszy na konika oszczędności usiłuje trafić w słabą stronę sejmujących. Zaprowadzenie jednak takiej oszczędności jest nader wątpliwej natury które gdyby zyskało uchwałę, zrodziłoby obok przysłowia „kupiła sobie baba prosię", drugie „Sejm krajowy kupił sobie drukarnię".

Jest wiadomą rzeczą, że w obec stosunków naszych, nietylko Lwów ale cały kraj choruje na hiperprodukcyę drukarń a Namiestnictwo znając takową pod żadnym warunkiem niechce wydawać dalszych koncesyj. Te drukarnie, które już istnieją przy największej oszczędności, znajomości fachowej, zaledwie mogą wegetować z dnia na dzień a jeszcze jedna drukarnia we Lwowie, musiałaby spowodować zjedzenie się wzajemne.

Rozważając dalej, to drukarnia administrowana przez administracyę Wydziału krajowego nietylko że niewykazałaby oszczędności ale przeciwnie, narażałaby na nieustające dodatki i wkłady. Wyobraźmy sobie dalej jaką krzywdę poniosłyby drukarnie lwowskie i to w najkrytyczniejszym czasie, gdy druki z Wydziału krajowego bywają po wszystkich drukarniach rozdzielane i to im przynosi jakkolwiek ulgę.

Zapytujemy Izbę poselską, czyby w obec takich warunków miała odwagę przyczyniać się do ruiny drukarń lwowskich w obec więcej jak wątpliwych widoków oszczędności.?

O tej nowo projektowanej drukarni, która sumptem kraju nie ze względu ekonomicznych i oszczędności ma powstać, ale — aby dać możność pewnemu stronnictwu nie cieszącemu się zbyt wielką popularnością w kraju taniego wydawnictwa własnego dziennika, telefony lwowskie szepcą co następuje: oto p Bernard Kalicki, nowo kreowany geniusz w Wydziale krajowym, w spółce ze znanym ks. Podolskim posiadają własną drukarnię tak zwaną Ludową we Lwowie, a która mocno sprzacowana potrzebować będzie niedługo spoczynku.

Otóż ten genialny zakład upatrzony został jako najwłaściwszy do nabycia na koszt kraju dla Wydziału krajowego i już miały się zrodzić projekta, gdzie ta drukarnia ma być ustawioną, albowiem w nowym gmachu sejmowym nie może być o tem mowy, gdzie w skutek mankamentów obliczenia potrzebnych ubikacyj na biura, już teraz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Wysoki Wydział krajowy przenosząc biura do nowego gmachu, zmuszony będzie równocześnie i bezzwłocznie wziąć jedną z sąsiednich kamienic na umieszczenie kilku biur.

Tak się przedstawia „wniosek" p. E. Torosiewicza, który jako głośna tajemnica, znany już był poprzednio w całym Lwowie; a czy Wysoka Izba sejmowa da sankcyę tak genialnemu pomysłowi, o tem się zapewne dowiemy jeszcze przed zamknięciem sesyi sejmowej.

Egzamin w szkole dla sług.

W Niedzielę dnia 4. Lipca odbyła się uroczystość zakończenia roku szkolnego w Szkole dla sług we Lwowie, w obecności czcigodnego Prezydenta miasta, Dr. Gnoińskiego, Wgo Inspektora szkół p. Baranowskiego i wielu zebranych gości.

Uroczystość rozpoczęła się odśpiewaniem pieśni religijnej przez uczennice zakładu. Następnie dr. Żuliński Józef, jako kierujący szkołą odczytał sprawozdanie z całorocznych usiłowań i stanu szkoły.

W roku 1879/80 zapisanych uczennic było 202 — zatem liczba 200 od 5ciu lat stale się utrzymuje. Uczęszczanie mniej więcej również ustalone, gdyż jak lat poprzednich, przeciętnie połowa zapisanych zawsze jest obecną. Oddziałów nauki z początkiem roku było 5, z których najwyższy t. z. praktyczny następnie wszakże oddział najniższy jak i poprzednich lat podzielony został na dwa z powodu przybywania uczennic nowych, które zwyczajnie ani pisać ani czytać nie umieją. Czytelnia była bardzo czynną. Niektóre w ciągu roku po kilkanaście książek przeczytały. Najwięcej wypożyczono: Żywoty ś. Zytty służącej, ś. Genowefy, Maryi Eustelli — Żywoty Patronów polskich, powiastki biblioteki Hoffmana, Dzieje Polski Chociszewskiego i inne. Kasa groszowa z składek centowych na zapomogi sług wzrosła o 32 zł. 60 ct. czyli wynosi 122 zł. 89 ct. wliczając w tę sumę 2 zł. niezwróconej jeszcze pożyczki.

Wkładki osobiste sług na książeczki kasy oszczędności, podniosły się w b. r. o 305 zł. zatem ogólna suma zaoszczędzonego dotąd grosza przez pośrednictwo szkoły wynosi 1868 zł.

Grono nauczycielskie oprócz kierującego szkołą i katechety Wgo ks. Gryglaka, syndyka OO. Dominikanów, stanowiły następujące Panie nauczycielki: Julia Abgarowicz, Wanda Blahut, Adolfina Kraus, P. Kowarzyk, Józefa Kulińska, W. Leiner, Helena Łempicka, Petronela Mukaczyńska, Aleksandra Pryma, Eleonora Ruebenbauer, Marja Wolter, Eufrozyna Wasilko.

Stan funduszu na utrzymanie szkoły. Zgodnie ze sprawozdaniem z roku zeszłego szkoła posiadała deficyt 37 zł. 33 ct. Na pokrycie tegoż Świetny Magistrat miasta Lwowa, udzielił zapomogi 50 zł, na bieżące wydatki zostało 12 zł 67 ct. Gdy zaś na służbę, oświetlenie i inne bieżące potrzeby wydano w r. b. 15 zł. 51 ct. przeto szkoła pozostaje jeszcze z deficytem 2 zł. 84 ct.

Fundusz na nagrody. Z zakładu p. Boberskiej złożono 10 złr., od PP. Bened. Ormiańskich 5 złr. od P. Niedziałkowskiej 15, razem od uczennic żeńskich szkół otrzymano na nagrody 30 złr. Nadto Wny P. dr. Marceli Madejski, jako jeszcze wiceprezydent miasta Lwowa, ofiarował 10 złr. i ks. Widajewicz, jako były katecheta szkoły sług 5 złr., zaś Zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego 15 złr. Suma ogólna na nagrody wynosiła 60 złr. Że zaś znaczna część tejże wpłynęła dopiero w ostatniej chwili po klasyfikacyi, stąd na nagrody pieniężne w b. r. zakupiono tylko dla dwóch najniższych oddziałów 4 książeczki po 3 złr., a dla wyższych 4 po 5 złr. A gdy oprawa nagród książkowych wynosiła 3 złr. 90 ct., ogółem więc na nagrody wydano 35 złr. 95 ct. Na rok następny zostało na tenże cel 24 złr. 10 ct.

Ofiary w książkach na nagrody, jako też do czytelni szkoła w b. r. zawdzięcza głównie W. P. Winiarzowi właść. drukarni, Wmu ks. Leonardowi Soleckiemu, PP.: Seyfartowi i Czajkowskiemu, wreszcie ks. Prał. Stojałowskiemu i ks. Aleks. Popławskiemu z Krakowa.

Z innych ofiar na rzecz szkoły, podnieść należy bezinteresowne wydrukowanie w Drukarni „Gazety Narodowej“ uwiadomień o nieregularnem uczęszczaniu do szkół uczennic.

Wszystkim wymienionym w sprawozdaniu dobrodziejom szkoły, dyrekcya tejże składa publicznie gorące podziękowanie.

Po odczytaniu sprawozdania, z którego główniejsze wyjątki podaliśmy, nastąpił popis uczennic. Uczennice były pytane tak przez PP. nauczycielki, jak i Wgo P. Inspektora. Odpowiedzi były zadawalające i świadczyły o kierunku szkoły, która obok podniesienia moralnego i odpowiedniego oświecenia sług, stara się też wzbogacić je w wiadomości praktyczne, tak pod względem gospodarskim jak higienicznym.

Po skończeniu popisu czcigodny p. Prezydent miasta własną ręką rozdawał przyznane sługom nagrody. Pieniężne nagrody otrzymały: Drzazga Antonina, Bomba Zofia, Czechowska Tekla, Futiak Katarzyna, Karpiak Tekla, Hütter Katarzyna i Borkowska Magdalena. — Pierwszych nagród w książkach we wszystkich pięciu oddziałach rozdano 16 — drugich 23. Ogółem więc nagrodzonych było 47. Książki na nagrody były stosowne do stanu i potrzeb sług — jak: „O obowiązkach sług, ks. Busson“ — Książki do nabożeństwa — Żywoty świętych służących — Powieści biblijne — Dzwonek i t. p.

Uczennice odznaczające się w nauce pieśni religijnych otrzymały zbiory pieśni kościelnych. Wszystkie nadto pilniejsze i odznaczające się przykładnem zachowaniem się otrzymały upominki w obrazkach lub mniejszych książkach było ich wszystkich 35. Uczennicom celującym oprócz właściwych nagród wydano drukowane świadectwa szkolne.

Po rozdaniu nagród W. p. Inspektor Baranowski w gorących i serdecznych słowach podniósł znaczenie i rozwój szkoły, wyrażając szczere uznanie dla grona nauczycielskiego, które bezinteresownie w dniach należnego mu wypoczynku poświęca się dla dobra sług naszych.— Uznanie to również serdecznie wyraził czcigodny pan Prezydent miasta. Poczem po odśpiewaniu pieśni religijnych przez sługi uroczystość zakończono.

Kronika.

Do Wgo Pana Edwarda Simona dyrektora gal. banku kredytowego prezesa lwowskiej Izby handlowej, posła na Sejm krajowy.

Czyniąc zadosyć licznym wezwaniom nietylko ze wszystkich stron kraju ale z Korony i Wielkopolski, gdzie doszły programy obchodu pięćdziesięcioletniego Jubileuszu powstania listopadowego w r. 1830, ośmielamy się Wgo Pana najuprzejmiej upraszać, abyś raczył pomimo wyboru do komitetu miejsca swego ustąpić innej osobistości, która w tymże komitecie jest niezbędną. Ustępstwo to jest koniecznością.

Do Pana Prezydenta stoł. miasta Lwowa i świetnej Rady miejskiej.

Doszło do tego, że mieszkańcy przy tak zwanych Kręconych Słupach i pierwszej części tamże położonej ulicy na Rurach, stają się niewolnikami we własnych mieszkaniach a zdrowie ich narażone jest, mianowicie latem, na niebezpieczeństwo, z powodu zabijających wyziewów, jakie się z kanału płynącego i otwartego wydobywają; doszło już do tego, że otwarcie okna dla zaczerpnięcia świeżego powietrza staje się niemożebnością, gdyż pomieszkanie zostaje natychmiast zakażone nie do zniesienia fetorami, kanał ten, który bezpośrednio położony jest w sąsiedztwie domów, niemoże być dłużej cierpiany.

Właściciele realności ulicy „Na Rurach“ i przy „Kręconych słupach“, chcąc się ochronić nadal od następstw wyziewów tego kanału, deklarują się, ponieść połowę kosztów, jakie się okażą potrzebne na zasklepienie tego nieszczęsnego źródła chorób, z warunkiem, że świetny Magistrat przystąpi jak najspieszniej do dzieła. Zdaje się, że w obec faktu, że realność przy Kręconych słupach (Sniadowskich) została obecnie tak wielkim kosztem przeistoczoną i stała się prawdziwą ozdobą tej części miasta, uwierzy świetny Magistrat i Rada, że i inni właściciele domów chętnieby takowe przebudowali podług wymogów czasu, jednakowoż w takich warunkach sąsiedztwa otwartej wielkich rozmiarów kloaki nie mogą tego uczynić.

Przekonani jesteśmy, że świetna Rada weźmie jak najspieszniej sprawę tę pod rozwagę i uczyni zadość słuszności.

Właściciele realności i mieszkańcy ulicy na Rurach.

Dnia 25. lipca b. r. odbędzie się w ogrodzie Towarzystwa „Skała“ ulica Mickiewicza l. 28 zabawa ogrodowa połączona z tańcami i przedstawieniem amatorskiem. Członkowie Towarzystwa odegrają: „Piosnka wujaszka“ komedya ze śpiewami w 1 akcie hr. Aleks. Fredry i „Mizantrop i druciarz“ komedya w 1 akcie. Chór Towarzystwa odśpiewa kilka pięknych utworów. Początek zabawy o godzinie 4tej. Przedstawienie rozpocznie się o godz. 8. — Ceny wstępu zwykłe.

Czas i Posener Ztg. zeszły się dziś razem na jednym polu dyplomatycznem.

Cieszy się niezmiernie „Posener Ztg.“ z tego, że „Czas“ potępia „demonstracyą“ na pamiątkę roku 1830, nazywając to chorobliwym objawem itd. itd., do którego nawet, o zgrozo! sędziwy Smolka dał się porwać!..

Nie musi się „Posener Ztg.“ dziwić. My Polacy mamy we wszystkich trzech zaborach swych dyplomatycznych agentów, którzy umyślnie są umocowani do tego, aby prowadzili „wyższą“ dyplomacyą.

Czyż „Posener Ztg.“ nie wie, że w „Czasie“ i naokoło „Czasu“ gromadzi się straż pożarna, czyli oddział Brandmeistrów? — Czyż „Posener Z'g.“ nie wie, że z otoczenia „Czasu“ wyszedł pan minister Dunajewski? I my mamy swoją dyplomacyą! Jakżeby to było, gdyby wszyscy przestali utrzymywać stosunki z dyplomatami.

I tak: panowie Ziemiałkowski (czerwony, onego czasu na śmierć skazany) i pan Dunajewski (biały) spotykają się np. we Wiedniu z posłem moskiewskim, a ten delikatnie ich pyta:

— Co wy, tam w Galicyi demonstrujecie?

Na to zaraz odpowiadają panowie ministrowie.

— Ej, gdzie tam! Przecież „Czas“ to potępia!

Na drugi dzień spotykają posła pruskiego, a ten im mówi:

— Czemu ten „Czas“ tak się boji Moskali i tak wystąpił przeciwko Jubileuszowi.

— Ej, furda, kochany panie, to tylko „Czas“, tak dla parady — ale widzisz „Gazeta Narodowa“ i Dziennik Polski“ itd. itd. wszystko jest innego zdania, i kraj ostatecznie pójdzie za nimi, tak jak za Jubileusz Kraszewskiego

Otóż tak to się rzeczy rozumieją, Szanowna „Posener Ztg.“. Gdyby rząd pruski postarał się był o to, aby choć jednego Polaka „zrobić ministrem“ dla ziem przez rozbiór Polski anektowanych, gdyby tak np. pan Radziwiłł albo Raczyński, albo Czartoryski, albo jaki członek Komitetu z r. 1846go byli w radzie korony do spraw polskich: to byśmy tu w kraju też mieli Dziennik ministeryalny, któryby zawsze pisał „lojalnie“ w myśl rządu i przeciw zbyt gorącym uczuciom tych niepoprawnych!

Niech „Posn. Ztg.“ spyta księcia Bismarka, czy nie tak jest, jak my piszemy. — Spróbujcie tylko państwo — a przekonacie się, że mamy słuszność.

Wszystko zależy od tego, jakie państwo macie zamiary względem Polski. Austrya Polsce dobrze życzy — więc choć „Czas“ z początku się droży, ale Dwór w gruncie się cieszy, że Jubileusz będzie się przypominał Moskwie. Nam się zdaje, że w Berlinie z tego się też cieszą, tylko udają, że nie.

Czyliż by w Berlinie chciano demonstracyi panslawistycznych za Moskwą?

Ej, w to nie wierzymy!...

Ile razy tedy „Posener Ztg.“ ma pod tym względem jakie wątpliwości dyplomatyczne, to niech śmiało spyta, a my jej to wszystko wytłumaczym. *(Gon. Wielk.)*

Potrzeba apteki na Nowym Świecie i w tej całej części miasta okazuje się dziś niezbędną, jeżeli uwzględnimy, że najbliższe apteki są Piotra Mikolascha przy ulicy Kopernika, p. Beisera przy ulicy Karola Ludwika, a p. Krzyżanowskiego obok Brygidek. Gdy zresztą cała ta część południowa miasta narażoną jest na brak pomocy z powodu oddalenia, byłoby więc bardzo do życzenia, aby którykolwiek z panów aptekarzy chciał się tam osiedlić, a władze chciały dać koncesye na założenie apteki.

Z Drohowyża odbieramy znowu nader niemile wiadomości, które nas uprawniają do twierdzenia, że Zakład ten a raczej Dyrekcya tegoż zamieniła się w dyrektoryat domu karnego, albowiem dopuszcza się wykroczeń, które wolno tylko spełniać c. k. sądom, a rzecz się tak ma:

Jak wiadomo, w Zakładzie Drohowyzkim miało być umieszczonych kilkudziesięciu starców.

Dotąd jednak przyjęto zaledwo kilkunastu, pomiędzy którymi znajduje się kilku dobrze zasłużonych Ojczyźnie weteranów z r. 1831. Otóż ci szanowni biedacy nietylko, że mało co lepiej są traktowani jak więźniowie po domach karnych, ale p. dyrektor Starkel dopuszcza się względem nich czynów, do których żadna prywatna osobistość nie jest kodeksem prawnym upoważnioną. Nie dosyć, że ci biedacy, którzy oddawali na sprawę publiczną krew i mienie, dziś zmuszeni szukać przytułku w zakładach humanitarnych publicznych, zamiast ulgi i spoczynku, narażeni są na dolegliwości fizyczne i moralne. Powodem do tego jest brak wszelkiego poczucia i uczciwości, jaką się winna rządzić Dyrekcya zakładu. Biedny taki starzec, jeżeli nie może się okupywać kucharzowi zakładowemu, karmiony jest jak najgorszą strawą. Nie dosyć na tem, gdyż samowola p. dyrektora dopuszcza się przestępstw nawet przeciw osobistej wolności starców. I tak: jednemu, którego nazwisko znane jest we wszystkich trzech zaborach z poświęcenia obywatelskiego i nieposzlakowanej czci, gdy starzec ten dla interesów familijnych chciał się udać do Lwowa na 24 godzin, zabronił a następnie w tych dniach dopuścił się p. dyrektor Starkel tak karygodnej samowoli, że wydawszy rozkaz ochmistrzowi zakładu, polecił wykonać u starca tego rewizyę i zabrać wszelkie jego prywatne papiery, co też ochmistrz dokonał. Taką samą rewizyę wykonano równocześnie u drugiego starca, weterana z r. 1831. Przekonani jesteśmy, że do takich bezprawiów nie upoważniony jest żaden dyrektor jakiegokolwiekbądź zakładu wyjąwszy karnych. Przypuśćmy, że p. dyrektor miał powód do zarządzenia rewizyi, to jednak do takowej powinien się był postarać o pozwolenie i asystencyą czy to władz politycznych, czy sądowych według natury sprawy. Ale niestety po takiej dyrekcyi jak w Zakładzie Drohowyzkim można się wszystkiego spodziewać. Opinia publiczna jest dla niej zerem, a przykład idzie z góry, bo od kuratoryi fundacyi śp. hr. Skarbka.

Poruszaliśmy sprawę te niejednokrotnie, jeszcze w marcu wysyłaliśmy list do kuratoryi, następnie w kilku artykułach żądaliśmy usunięcia nietylko przestępstw, ale i zbrodni. Nareszcie przesłaliśmy do Izby sejmowej memoryał dotyczący tych ohydnych spraw w Zakładzie Drohowyzkim. Memoryał ten otrzymało 50 posłów. Pomimo to nie możemy dopukać się do obywatelskiego poczucia sprawiedliwości, gdyż jak wielu pp. posłów nawet twierdzi, kuratorya jest tak silnie opancerzona, że sobie drwi z wszelkiej opinii publicznej, a więc tem samem protegujo moralnie popełnianie zbrodni w Zakładzie Drohowyzkim. Czy się więc można dziwić, że dyrektor Zakładu, ufny w takie poparcie bezkarności, zapoznał swoje stanowisko i nietylko nie chce widzieć, co się dzieje w Zakładzie, ale sam ręki przykłada do nieuczciwych i karygodnych czynów. Obecnie już jesteśmy w możności udowodnić, że nietylko ochmistrze i dozorcy dopuszczali się katowania wychowańców, ale p. dyrektor Starkel wpadłszy osobiście w szał wściekłości, rzucał na ziemię, bił a nawet, jak świadkowie chcą stwierdzić przysięgą, kopał nogami.

Jest rzeczą zwykłą w Zakładzie, że na obiad brakuje kilkunastu porcyj dla wychowańców i nikt się nie stara, aby głód ich był zaspokojony. Niedawno temu dano na śniadanie dzieciom zupę, która była tak wstrętną w smaku i koloru atramentu, że dziatwa nie mogła się przezwyciężyć do przyjęcia tej strawy. Wprawdzie p. dyrektor przybył do jadalni i przekonał się osobiście, że śniadanie nie jest możliwe do skonsumowania, ale nie zarządził, aby głód dzieci był czem innem zaspokojony i wychowańcy pozostali na czczo aż do obiadu.

Wychowańcy mają dostawać w niedzielę i święto po bułce. Gdy jednak wyrok o uzyskanie bułki zależy głównie od pierwszego lepszego dozorcy, który bezkarnie bije i łży najohydniejszemi, niemoralnemi wyrazami wychowańców, znaczna część tych bułek przechodzi co niedziela na własność dozorców.

Dziś jesteśmy również w możności udowodnić, że p. dyrektor Starkel, człowiekowi, który się dopuścił w Zakładzie szeregu ohydnych zbrodni, aby tenże miał sposobność usunięcia się z pod oka sprawiedliwości, ułatwił ucieczkę, dając mu pieniądze na drogę.

Nie zaniedbaliśmy niczego dotąd, aby na drodze prywatnej spowodować kuratoryę fundacyi śp. hr. Skarbka, Wys. Wydział krajowy i pp. posłów na Sejm krajowy, aby tej smutnej gospodarce położono raz koniec i przeprowadzono sumienne śledztwo, co się w Zakładzie dzieje i tego, co się działo. Gdy nas jednak dochodzą z najpewniejszych źródeł wieści, że bez własnej woli kuratorya nic nie zrobi i nie da się nakłonić do spełnienia świętego obowiązku, że władza Wydziału kraj. a nawet Wys. Izby sejmowej za zbyt jest ograniczoną, aby mogły spowodować natychmiastową sprawiedliwość, po wyczerpaniu tych wszystkich środków dążących do polubownego obywatelskiego wyroku i uzyskania opieki nad Zakładem w Drohowyżu, gdy wszystko pozostaje bez skutku, oświadczamy ale już po raz ostatni, że gdy do ukończenia sesyi sejmowej nie będzie ta sprawa załatwioną, nie będziemy się ani chwili wahać, aby ją przedstawić w całej nagości i złożyć przed c. k. Prokuratoryą państwa.

Pukając do tych ostatnich drzwi sprawiedliwości ziemskiej nie będziemy sobie mieli nic do wyrzucenia, gdyż nie zaniedbaliśmy również nic, aby do tej ostateczności nie przyszło.

Smaczne, zdrowe i uczciwe. Od pewnego czasu donoszono nam, że jeden z liwerantów mleka i śmietanki w ciekawy sposób uskutecznia transport tych artykułów spożywczych dla zaopatrzenia swych klientów we Lwowie. I to, jak wiadomo, śmiertelność w Zakładzie kulparkowskim dla obłąkanych jest nader znaczna a więc bardzo często wywożą z tamtąd nieboszczyków na cmentarz. Akt ten uskutecznia się w ten sposób, że wóz z półkoszkami, do którego się wstawia trumnę z nieboszczykiem, którego poprzednio zwykle sekcyonowano, wiezie furman przez rogatkę Gródecką i ulice miasta na cmentarz, gdzie oddaje ciało grabarzowi do pochowania.

Jak wiadomo zarząd zakładu kulparkowskiego, któremu „Dziennik Polski“ wydał patent na gorliwość urzędniczą, zasłynął w ostatnim czasie z nadzwyczajnych zdolności ekonomicznych przez idealne zaoszczędzenie 14000 złr. w jednym roku. Wprawdzie społeczeństwo niewierne powątpiewa i kiwa sprzecznie głową, gdy mowa o tej oszczędności a do tych niewiernych Tomaszów i my się zaliczamy. Z drugiej jednak strony zmuszeni jesteśmy przyznać niezwykły zmysł ekonomiczny i uwierzyć w doniosłość zasad p. rządcy zakładu w Kulparkowie a rzecz się tak ma: p. rządca w Kulparkowie trudni się na własną rękę małą gospodarką i utrzymuje kilka krów mlecznych, od których mleko i śmietankę sprzedaje do Lwowa, a że produkt ten wymaga, aby był na miejsce dostawiony, rzeczą naturalną, iż chociaż ma do rozporządzenia konie zakładowe i wóz, niemoże takowych bezwzględnie używać dla własnej korzyści.

Gdy jednak wóz ten używany jest do transportu nieboszczyków na cmentarze, nie może przecież nikt przeciw temu protestować, aby p. rządca niekorzystał ze sposobności i transportu tego nie używał równocześnie do ekspedycyi mleka i śmietanki. Społeczeństwo nasze jednak tak niewyrozumiałe, iż się śmie nawet oburzać jeżeli widzi, że trumna z nieboszczykiem obstawiona jest naczyniami z mlekiem i śmietanką dla klientów pana rządcy we Lwowie.

Wprawdzie woń wydobywająca się z trumny, szczególniej teraz podczas dni gorących, nie jest zbyt miłą, ale któżby zważał na takie bagatelki i co to może szkodzić mleku i śmietance. Gdyby to zresztą było przeciwne przepisom sanitarnym, to światła i gorliwa straż rogatkowa na Grodeckiej rogatce doniosłaby niezawodnie o tem fakcie p. radcy Łyszkowskiemu, bo za każdym razem rewidując wóz ogląda trumnę i naczynia z mlekiem. Gdyśmy się w ubiegłym tygodniu naocznie przekonali o fakcie, uważamy za nasz obowiązek donieść naszym czytelnikom i wskazać do jakich pomysłów są zdolne ekonomiczne zasady oszczędności, z drugiej strony Wysoki Wydział krajowy może się szczycić takim urzędnikiem, o którego działalności, charakterze i zmyśle ekonomicznym już ten jeden fakt dostatecznie świadczy.

Donoszą nam z Podwołoczysk o nader ciekawej gospodarce moskiewskiej, w granicach państwa austryackiego w Galicyi. Dnia 14 t. m. nadeszła depesza do Podwołoczysk, aby władze austryackie aresztowały dwóch podróżnych, którzy przybyli z Rosyi — a są wrzekomo poszlakowani o strzelanie do cara. Następnie przybył kapitan żandarmeryi z Wołoczysk. Radoszewski i żądał wydania aresztowanych bezskutecznie, poczem usiłował przekupić pilnujących uwięzionych, dając im po 40 rubli. Gdy dostał odprawę — odjechał. W Podwołoczyskach było tylko dwóch żandarmów, albowiem reszta posterunku była na przeglądzie w Tarnopolu. Dobrano więc trzech żołnierzy ze straży granicznej do pilnowania więźniów. W nocy z 15. na 16. t. m. podjechała z Wołoczysk cichaczem lokomotywa z wagonem, z którego wysiadło do 30 moskali uzbrojonych, usiłowali podsunąć się pod koszary i odbić więźniów. Gdy na żądane hasło straż nie odebrała odpowiedzi, dała dwa czy trzy strzały, po których usłyszano kilka jęków.

Na alarm ten, gdy w koszarach powstał ruch i w sąsiedztwie, napastnicy pozbierali rannych czy zabitych, wsiedli do wagonu i uciekli po za kordon. Że to była sprawka kapitana żandarmeryi moskiewskiej — Radoszewskiego, nie ma najmniejszej wątpliwości.

Bezczelna taka śmiałość napadania zbrojno obcego państwa, wywoła niezawodnie odpowiednie skutki.

Józef Hilary Glinkiewicz *corespondant de la Gazeta Lwowska" journal officiel et du „Czas"* IV Theresianum - Gasse 6 – we Lwowie Hotel George'a l. 7." Takiemi kartami zaznajamia z sobą publiczność lwowską korespondent i współpracownik powyższych pism, a który zapomniał dodać, że na sesyę sejmu krajowego przybył jako koresdondent Gazety wiedeńskiej central *Wiener Allg. Zeitung.* Pan ten przywiózł podobno z sobą z Wiednia od wysoko położonej osobistości list polecający, aby mu ułatwiano najspieszniejsze nabywanie wiadomości sejmowych.

Usadowił się więc na dole w Izbie poselskiej obok lembergerki, lecz gdy pretensye te zakrawały na gruby skandal, wyproszono p. Glinkiewicza z bezpośredniego zbliżenia się do posłów. Arystokracja wiedeńska jednak nie pozwalała tak poważnemu korespondentowi siedzieć na galeryi, gdzie się mieszczą inni dziennikarze i pomimo, że loże sejmowe dla publiczności są zbyt szczupłe, biuro sejmowe pozwoliło temu panu z aparatami do pisania zająć jedną z lóż. Ciekawi jesteśmy, czyby z taką samą względnością postępowano z dziennikarstwem polskiem.

TEATR.

Tego tygodnia mamy tylko kilka słów do zanotowania o naszym teatrze. Produkował się pan Siedlecki — znany już we Lwowie; odegrano „Przysięgę Horacego" i dano po raz pierwszy — „Zieloną wyspę czyli sto dziewic" Lecoque'a. Pan Siedlecki — bo to tylko przypadkiem widzieliśmy — przedstawił nam mnóstwo rozmaitych fotografij w formacie powiększonym, tak jednak nie wyraźnie, że aby im się dobrze przypatrzeć a nawet rozpoznać, już z

balkonu bardzo silnych potrzeba było szkieł powiększających... Co i kogo one przedstawiały, rozbierać nie będziemy.

W „Przysiędze Horacego" widzieliśmy panią Woleńską, pp. Lubicza, Suchorowskiego i pannę Koźmian. Z tych wszystkich na szczególną wzmiankę zasługuje pani Woleńska, jedna z najsympatyczniejszych artystek polskich. Gra jej jest zawsze bez pretensyi a sumienna, jak rzadko. Artystkę tę widzieliśmy w głównej roli niewieściej w Szekspira „Ryszardzie III.". Dziwimy się zaiste, dlaczego ją tak rzadko na scenie widujemy, gdy w tak trudnej roli, jak owa szekspirowska, wywiązała się ku zupełnemu zadowoleniu znawców.

„Zielona Wyspa" Lecoque'a jest to jedna z najlepszych operetek pod względem muzyki a jedna z lepszych ze względu na libretto. W innej porze roku — nie tak jak obecna gorącej— odegrana, ściągnęłaby tłumy publiczności, teraz jednak zaledwie setki osób zgromadziła w teatrze. Muzyka świeża, pełna werwy — stoi wyżej od „Kadeta okrętowego", „Dzwonów z Corneville" itp., przedstawienie zaś tej operetki nic nie pozostawia do życzenia. Najwięcej oklasków zebrała w niej p. Skalska za walc — podobno w drugim akcie. Artystka ta odznacza się tu szczególniej życiem, którego brak jej często. Wnosząc zaś z zapasu głosu i z możności modulacyi jego, jakie w tym walcu rozwinęła, sądzić można, że pni Skalska dopiero przynajmniej w połowie swej artystycznej karjery się znajduje. Piszący te słowa wypowiada to całkiem serjo i na tem większą zasługuje uwagę, iż zawsze raczej pessymistycznie niż w przeciwnym kierunku na jej produkcye się zapatrywał.

Kończąc tę krótką o teatrze wzmiankę, zapytujemy, kiedy też wreszcie pozbędzie się Lwów także pni Aszpergerowej i Nowakowskiej, skoro już pani Parźnickiej nie posiada. *L. I.*

Przewodnik przemysłowo-handlowy po Lwowie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Waydowicz (pt. Poremby), Rynek l. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.